Nr. 41 Rok 5 Kraków, dnia 8 października 1944. 40 gr.

Ilustrowany
POLSKI

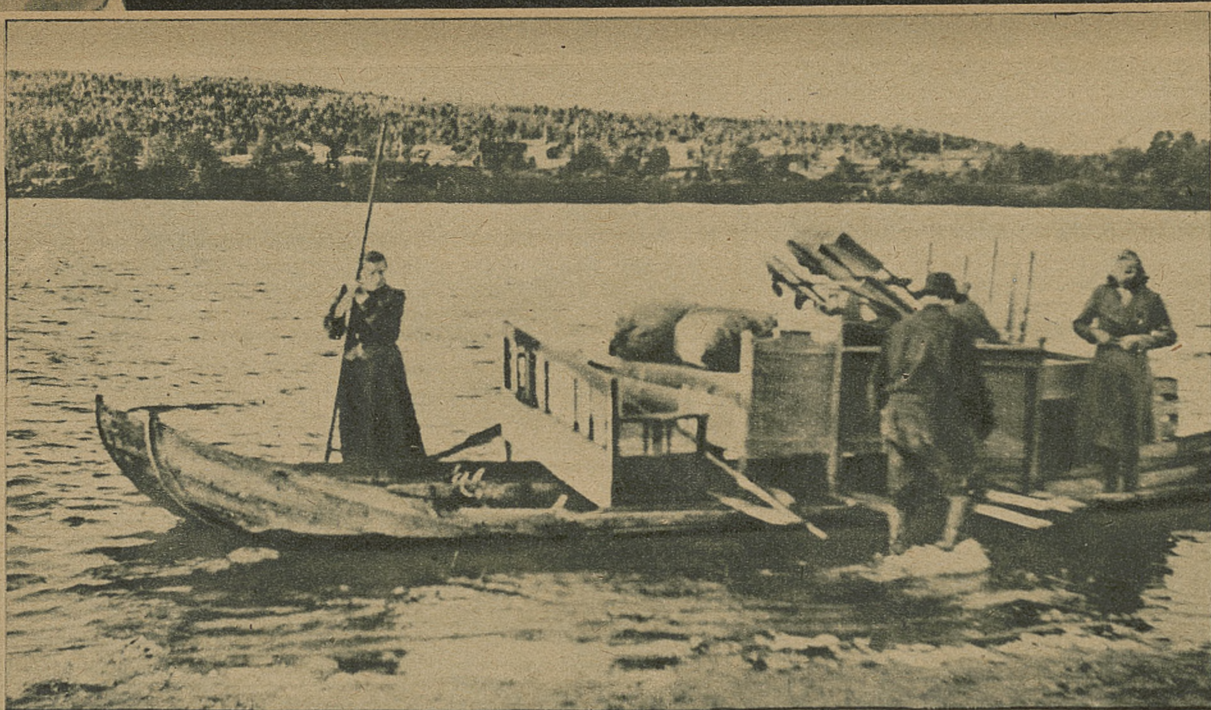


REMBRANDT VAN RIJN

W DNIU 8 PAŹDZIERNIKA MIJA 275 LAT OD ŚMIERCI REMBRANDTA, JEDNEGO Z NAJWIĘKSZYCH MALARZY ŚWIATA I NAJZNAKOMITSZEGO PRZEDSTAWICIELA EUROPEJSKIEJ KULTURY

Powyżej reprodukcja autoportretu Rembrandta

CZERWONY ZALEW



Wodą i lądem uciekają tłumnie Finowie do Szwecji, unosząc ze sobą jedynie trochę najniezbędniejszych rzeczy. Ludzie ci nie mają żadnych iluzji co do rozkoszy życia pod bolszewickim panowaniem.







Na lewo:
Fińskie matki wraz z dziećmi odpoczywają znużone w czasie ucieczki do Szwecji. Nie zdołały one prawie niczego uratować ze swego dobytku, ale wolą najmarniejszą egzystencję na obczyźnie, aniżeli życie „w raju sowieckim".

Powyżej:
Ci robotnicy w Rosji sowieckiej chodzą jak ślepe konie w kółko przy kieracie, wykonując ciężką pracę przy tym prymitywnym mechaniźmie. Oto wiele mówiący obrazek z „Raju czerwonego".



Na lewo:
Jeden z pociągów, w których bolszewicy transportują ludność przeznaczoną na wysiedlenie z obsadzonych przez siebie obszarów. Małe zakratowane okienka zaledwie przepuszczają trochę słońca i powietrza.

NORWEGIA

SZWECJA

UCIECZKA

WYSIEDLENIE

FINLANDIA

HELSINKI

MORZE BAŁTYCKIE

ESTONIA

REWEL

ŁOTWA

RYGA

DO ROBÓT PRZYMUSOWYCH

LITWA

WYSIEDLENIE

WYSIEDLENIE

WYSIEDLENIE

DEPORTACJA

DEPORTACJA

LUBLIN

LWÓW

MORZE CZARNE

ISTAMBUŁ

BUKARESZT

RUMUNIA

TURCJA

BUŁGARIA

SOFIA

SERBIA

MORZE EGEJSKIE

Wysiedlenia, deportacje...

Czerwona fala szumi i grozi zalewem na wschodzie Europy. Pochłonęła ona już pojedyncze obszary europejskie. W Rumunii panuje bolszewizm, w Bułgarii rządzą komisarze sowieccy, Lwów, Lublin, Estonia, Łotwa i Litwa podlegają czerwonemu carowi na Kremlu, a również Finlandia ugięła się pod naciskiem Sowietów. „Zawieszenie broni" podyktowane temu dzielnemu narodowi przez jego rząd i władców moskiewskich nie równa się bynajmniej jakiemuś przygotowaniu do pokoju, ale jednostronnej, jeszcze krwawszej wojnie niszczycielskiej. Bolszewicy prowadzić ją będą przy użyciu broni, a narody podbite przez Sowiety jedynie gołymi rękami, gdyż musieli wydać swą broń oprawcom.

Nieopisana nędza i groza nawiedziła wszystkie te kraje, których nie mogły ustrzec pozbawione broni narody. Jedyną możliwością ujścia przynajmniej z życiem i ocalenia cząstki swego posiadania jest ucieczka. Na wszystkich drogach prowadzących na zachód widzi się nie kończące się szeregi znużonych, zrozpaczonych ludzi, przedkładających niepewną przyszłość ponad pewną śmierć, bądź też niegodne człowieka niewolnictwo. Widać jednak jak i na wschód ciągną z tych krajów rzesze ludności. Bataliony robocze maszerują znużonym krokiem, udając się w czerwoną niewolę, tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi wzywanych przez czerwonych nadzorców do coraz większego pośpiechu posuwają się ku wschodowi. Ale dokąd? Tego oni nie wiedzą. Może osiągną kiedyś stepy Sybiru, a może padną na drodze z głodu i niedostatku i czeka ich gdzieś okropna zatrata. Bez żadnej pomocy kogokolwiek, kto by w chwili śmierci mógł im zamknąć powieki. Nie wiedzą oni tego, ale domyślają się, że nie ujrzą nigdy swych najbliższych. Ten komu uda się ujść czerwonego jarzma i uciec, może się uważać za szczęśliwego, gdyż podążą on na zachód do Europy, która stawi czoło czerwonej fali i która musi ją zatrzymać.

Nieprzenikniona jest fala uchodźców fińskich opuszczających obszar półwyspu Porkkala, nieprzeliczoną jest liczba zesłańców przeznaczonych na wykonanie pracy przymusowej w Sowietach. Olbrzymią jest liczb rodzin wysiedlonych z Lubelszczyzny n Ukrainę i do Białej Rusi, jak i liczba Rumu nów, którzy musieli opuścić swą ojczyzne aby zwolnić miejsce na rzecz komunistów Pożałowania godnym jest również los Bu garów zaprzedanych przez ich rząd bolsze wikom. Setki tysięcy, a może i miliony lud udaje się dzisiaj z miejsca na miejsce. Są o wszyscy nieszczęśliwi i drżą bez wyjątk z obawy przed czerwonymi hordami, któ spowodowały tę pełną grozy wędrówk ludów.



Jeden z licznych obrazków nędzy uciekinierów, którzy starają się ujść przed rządami bolszewików. Osłabiony mężczyzna pada już ze znużenia. Żona zaklina go na wszystko w świecie, by zebrawszy ostatek sił spróbował jeszcze iść dalej.

CZARNOGÓRA

ALBANIA

CHORWACJA

GRECJA

MORZE ADRIATYCKIE

Fot: Transozean 2, Archiwum 3

GAUCHOS

Zdawać mogłoby się „na pierwszy rzut oka“, iż trawiasty, bezleśny step, naturalne, milami ciągnące się pastwisko, że panowie tego stepu, pasterze konni, czyli mówiąc prosto z mostu preria i cowboy'e lub gauchos, to typowo amerykański wynalazek i monopol zza morza. Tymczasem rzecz ma się zupełnie, ale to zupełnie inaczej, bo pasterze stepowi i sam step, to nie żaden wytwór wciąż czymś chcącej światu imponować Ameryki, ale własność starej naszej Europy, starsza od „Nowego Świata“, bo znana dawniej, niż urządzenia Zachodu. Nie zaimponują tedy „Staremu Światu“ ani prerie, stepy Ameryki północnej, z ich cowboy'ami, ani lianos lub pampas południowej z półdzikimi, prymitywnymi gauchos. W sercu Europy niemal, w nad-dunajskim kraju Węgier, mamy to samo, dawniejsze tylko a nie reklamowane i nie okrzyczane tak bardzo i niepotrzebnie. Czym dla obszarów między Appalachami, więc górami nadatlantyckimi i pasmem Kordylierów na Zachodnim wybrzeżu Ameryki północnej są prerie, czym w nizinie Andogujańskiej i dorzeczu La Platy Ameryki południowej pampasy, tym samym była zawsze dla Węgier puszta, wielki step koło Debreczyna, na którym wypasają się dziesiątki tysięcy sztuk bydła, koni i owiec.

Ani nawet nie ma zbytniej różnicy między życiem cowboy'ów i gauchos a dniem, nocą i pracą pasterską braci z puszty. Tu i tam długi, wlokący się czas w towarzystwie upałów, burz, zmroków i świtów, często w czuwaniu bardzo wyczerpującym nad powierzonymi sobie stadami, gdy zaczną gospodarować bandy koniokradów i ludzi podejrzanego autoramentu.

Tu i tam hulają wichry i szemrzą monotonnie tak bardzo dla pasterzy uprzykszone deszcze, lśnią — hen, wysoko, migotliwe gwiazdy, jedyne powierniczki marzeń, pragnień i tęsknot owych „stepowych ludzi“.

Samotne to bardzo i częstokroć nie wesołe życie. Lato — jak długie, aż po jesienne, późne chłody i dżdżę — pędzi pasterz węgierskiej puszty w otoczeniu zwierząt należących do jego stada.

Dłużące się chwile umila sobie grą na flecie, rodzajem długiej fujarki będącym, instrumencie tak wielce umiłowanym przez wszystkich pasterzy.

Tylko w południową porę, gdy pędzi on bydło i trzodę do wodopoju, spotyka swoich towarzyszów doli i może pogawędzić z nimi, podochocić się, zaśpiewać wspólnie. Niosą się wówczas daleko w zieleń „Hortobagy“, jak zwie węgierski „gauchos“ pusztę, od miana małej rzeczułki step przepływającej — rzewne melodie, a pasterze poglądają w niebo, by określić po słońcu czas, nakazujący im rozstać się z „kolegami“, aż znowu do jutrzejszego dnia.

Co robić w samotni stepu, gdy cisza zawisa nad leniwo skubiącym trawę stadem? Węgierski „gauchos“ za punkt honoru uważa przewyższyć towarzyszów w . . . trzaskaniu z długiego, pasterskiego bicza. Źdźbła słomy umiejętnie i „odpowiednio“ splatane w warkoczyk dowiązywany do bicza, dają zwykle pożądany efekt rewolwerowego wystrzału przy machnięciu batem z nagłym jego podrywem. „Tradycyjny“ to honor zawodowego pasterza, nie dać się na tym polu zdystansować nikomu . . . Niby niesamowite jakieś straszydła wyglądają stepowi pasterze węgierskiej puszty w swoich do samej ziemi długich futrzanych okryciach, noszonych „w świątek i piątek“, w gorąc i chłody. „Co dobre w chlapę, to nie może być złe i w pogodę“, oraz . . . odwrotnie, konkludują filozoficznie chłopcy z puszty i nawet nie pocą się w lipcowym żarze w cudacznym stroju. Najkomiczniej jednak wygląda pasterz w czasie strzyżki owiec, tworząc wraz z trzymaną mocno w garści i własnoręcznie strzyżoną delikwentką niby jedną kudłato-wełną całość. „Godłem“ pasterza z puszty jest gruby kij z charakterystycznym zahaczystym okuciem u góry, służącym do chwytania owiec, o wyglądzie zbliżonym do mocno uszkodzonego biskupiego pastorału. Rzadkie okazje wspólnej zabawy i poczęstunku z „wypitkiem“ przy zastawionym stole, to właściwie cała odmiana szarzyzny dnia, chwile radości i junackiej beztroski panów stepu, węgierskich „gauchos“, cowboy'ów puszty . . .



Na prawo w kole:

Z SYMBOLEM PASTERSKIEGO STANU . . .

W dłoni „gauchos'a“ puszty tkwi zawsze kij z zakrzywionym ornamentacyjnie okuciem, tradycyjnym symbolem „godności“ pasterza węgierskiego stepu.

WSPANIAŁY OKAZ BAWOŁU PUSZTY

Dla bezpieczeństwa obcych nałożono temu „obywatelowi“ węgierskiego stepu kulkowe ochraniacze na długie mocne rogi. Tylko pasterz bez obawy może zbliżyć się bezkarnie do tej okazowej sztuki stada.

Na prawo:

KAŻDY PASTERZ — TOĆ URODZONY MUZYKANT!

Z fletem u warg spędza „gauchos“ węgierski długie dnie pobytu ze stadem na paszy. Gdy trafi się okazja spotkania, bodaj we „dwa instrumenty“, wówczas nauka nowych melodyj święci pełne triumfów chwile.

Na lewo:

W GOŚCINIE

Mleka misa, niby miednica na prymitywnej umywalni, wpuszczona w prosty stół, zaprasza do wspólnego poczęstunku, gościnnych ludzi stepu. „Gość w dom — Bóg w dom“ — toć zapewne przekonanie węgierskich „gauchos“, raczących się niewyszukanym daniem na „wizycie“ w sąsiednim obszarze wypasu.









Na lewo:

WPATRZENI W DALEKI STEP

„Hortobagy“, leniwo tocząca swe fale rzeka puszty, nastraja do dumań i marzeń . . . Zasłuchani w jej monotonny szmer, siadują godzinami całymi na brzegu pasterze, strojni w malownicze regionalne ubiory, śniąc o szerokim świecie i jego czarach.

Na lewo w kole:

W WESOŁEJ KOMPANII

Gdy zagrają cygańskie skrzypki i splecie się z nimi śpiew pasterzy w dniach uroczystości i świąt narodowych, czar melancholii stepu brała się z radosnym nastrojem ludzi, szczęśliwych swobodą i ukochaniem swych stron.

Obok:

TRZEBA UMIEĆ ZROBIĆ DOBRY BICZ!

W zębach przytrzymywana i w warkocz pleciona słoma da wspaniałą „trzaskawkę“ do długiego bicza konnego pasterza puszty. Kto najgłośniej umie „strzelać“ z bata, ten zbiera zasłużony podziw i uznanie współtowarzyszów.



Fot: Fritsch

Na lewo:

PODWÓJNY POŻYTEK

Oryginalnego wykonania pasterski kij węgierskiego „kustosza“ trzód, spełnia nie tylko zadanie podpory człowieka stepu, ale służy równocześnie niby arkan czy lasso do chwytania wełniastych pupilów i umożliwiania dostępu do nich.

PUSZTY

DOŻYWIANIE ROŚLIN

Przypominają sobie zapewne wszyscy, którzy teraz dobijają do czterdziestki, „siarniki“-zapałki, które można było zapalić przez potarcie o jakąś chropowatą powierzchnię (często były to spodnie). Były to zapałki fosforowe, a nie siarkowe. Fosfor służy nie tylko do wyrobu łatwo zapalnych przedmiotów, ale w przyrodzie spełnia bardzo ważną „życiodajną“ rolę. Fosfor znajduje się w kościach, we krwi i w mózgu. Bez niego życie byłoby niemożliwe. W organiźmie znajduje się w niedosrzegalnie maleńkich ilościach, w połączeniu z innymi substancjami. Podobnie i w przyrodzie nigdzie nie znajduje się w czystej postaci. Może być uzyskany tylko przez odłączenie z fosfatów, z soli obfitujących w fosfor lub innych związków. To jest powodem, że uzyskanie czystego fosforu datuje się dopiero od 280 lat. Podobnie jak w wielu innych wynalazkach, tak i w wypadku fosforu odkrycie nastąpiło przez przypadek, zupełnie niezamierzenie. I również podobnie jak w innych wypadkach uzyskany został równocześnie przez dwóch odkrywców niezależnie od siebie pracujących. W roku 1669 wydestylował fosfor aptekarz hamburski Branit w swojej pracowni alchemicznej. Zdarzyło mu się, że przy destylacji moczu wytworzył się biało-żółty opar, a jego osad na kolbie w ciemności świecił. Podobnego doświadczenia dokonał na krótko przed nim nadworny alchemik Kunkel.

Wkrótce potem uzyskał fosfor, wydobywany już w wielkich ilościach z kości, bardzo ważne zastosowanie w rolnictwie. W tej dziedzinie chemii odznaczył się niemiecki uczony Liebig, który założył, najpierw w Anglii, pierwszą fabrykę superfosfatu. Ale wnet nie starczyło na potrzeby rolnictwa na tej drodze wydobywanego fosforu.

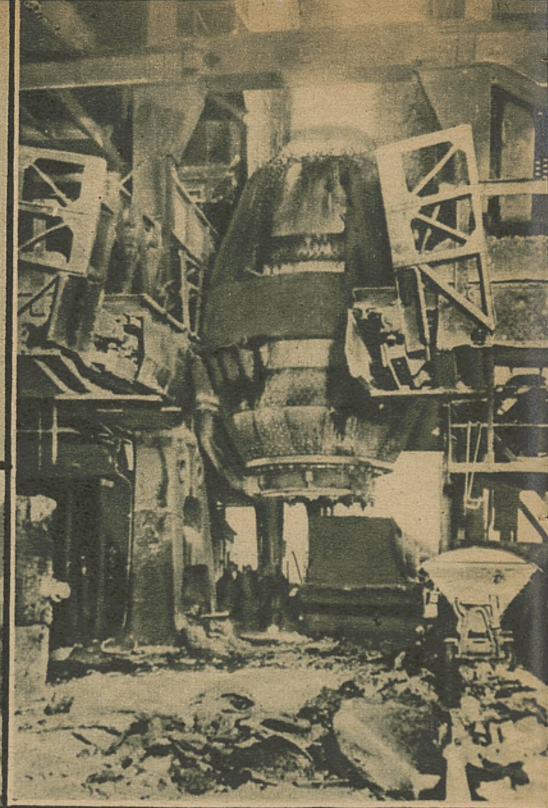
I znowu brakowi temu zapobieżono uzyskując fosfor przy innych poszukiwaniach. Rudy żelaza zawierające fosfor były przez dłuższy czas nieużyteczne dla produkcji stali, ponieważ nie były spoiste i przez to stal była krucha. Przemysł żelazny szukał sposobów wyłączenia fosforu z tych rud żelaznych. Gruszki besemerowskie wydobywają właśnie sposobem Thomasa fosfor z rud. Pozostałość procesu Thomasa, tzw. szlaka, zawiera wydestylowany fosfor. Tę szlakę miele się i to jest właśnie owa mączka Thomasa, dobrze znana rolnikom, a równoznaczna z superfosfatem, wyprodukowanym z kości.

Istnieje w istocie dwa rodzaje czystego fosforu. Uzyskuje się go przez prażenie fosfatów. Pierwszym produktem jest biały fosfor, który w zetknięciu z powietrzem sam się zapala i poza tym jest w wysokim stopniu trujący. Przez dalsze ogrzewanie powstaje z niego czerwony fosfor, który nie jest trujący.

Ten ostatni rodzaj fosforu znajduje zastosowanie przy wyrobie zapałek, jednak nie — jakby się zdawało — w samych główkach zapałek, ale w powierzchni służącej do pocierania, która składa się z minimalnych domieszek fosforu i piasku szklanego.



W zakładzie doświadczalnym nawozów fosforowych w Dahlen. Setki słoików z roślinami, na których próbuje się działania fosforu w różnych dawkach.

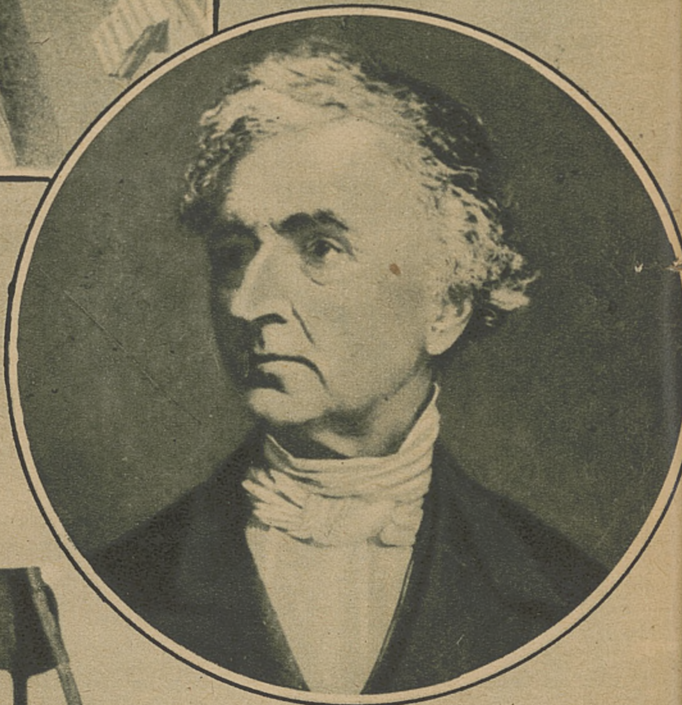


Gruszka Besemera, produkująca stal, z której jako produkt uboczny, z pozostałej z procesu destylacji szlaki, powstaje tomasyna.

Cieplarnie zakładu doświadczalnego w Dahlen, w których rosną doświadczalne rośliny, zasilane nawozami fosforowymi.



Obok w kole:
Tomasyna. Mączka Thomasa uzyskana ze zmielenia szlaki, pozostałości po wyprodukowaniu stali w gruszce besemerowskiej.



Poniżej:
Justus Liebig, założyciel pierwszej fabryki superfosfatu.



Ważenie zbiorów z pól doświadczalnych zakładu w Dahlen.

Fot: Seiler



1. LEKCJA

Świat znów odmłodniał.

Marzec zmęczony dwudziestym drugim dniem życia usiadł na brązowej ziemi i podziwiał różaną twarzyczkę siostrzyczki wiosny, wyłaniającą się z obłoków nieba. Życzył jej powodzenia. Jutro obejmie władzę...

Ktoś otworzył okno. Promień słoneczny padł na ciemną głowę, pochyloną nad książką. Oczy śledziły literki, przebiegały linijkę za linijką „Duszy zaczarowanej" Romain Rolland'a. Bohaterka Anetka była blisko, zdawało się, że obok żyje, bujna młodością, rozbudzona namiętnościami kobiety.

Uczennica Irka Bilińska tak była przejęta treścią, że nieostrożnie przewróciła kartkę. Zaszeleścił papier i to zwróciło uwagę profesora. Usłyszała do siebie skierowane słowa: — czemu nie uważasz? W tej chwili przejdź do pierwszego stolika.

Trudno! Zamknęła książkę, przezornie schowała do teczki i cichutko (w tenisówkach nie słychać) spełniła rozkaz.

Nie myślała już o Anetce, uważała, słuchała wykładu. Zresztą lubiała lekcje historii. Przeważnie interesowało ją to, co mówił profesor. Teraz także ciemne oczy utkwiła w mężczyźnie, siedzącym na katedrze. Tak, jak przed chwilą porywała ją Anetka, tak obecnie pochłaniały ją wyprawy krzyżowe. W wyobraźni widziała Piotra z Amiens, Fryderyka Barbarossę, pochód ludzi, ciągnących przez całą Europę, wierzących, mocnych. Rycerze na tle szarego tłumu odbijali się jaskrawie, słowa profesora obrazowały żywo zapomnianą treść średniowiecza. Rząd fantastycznych i prawdziwych bohaterów pociągał tajemnicą.

Nagle zadźwięczała w uchu melodia.

Skądże ja to znam? Z czego to jest? Zmarszczyła czoło i usiłowała sobie przypomnieć. Acha! Wagner, motyw z Parsiwala.

Irka dziwnie kojarzy myśli. Jedna pędzi drugą, stwarza chaos. Fryderyk Barbarossa przechodzi w obraz Parsiwala, a Parsiwal w melodię z opery Wagnera.

Do mapy!

Z zamyślenia wyrwał ją głos profesora. Wstała, rzuciła błagalne spojrzenie na koleżankę obok (może podpowiesz?!), wolno podeszła do mapy, wzięła kijek do ręki, chrząknęła raz potem drugi, wreszcie przymilnym głosem cichutko zaczęła:

— Panie profesorze! jakie było pytanie? nie dosłyszałam.

Profesor skierował ładne, piwne oczy na uczennicę. Wydała mu się dziwnie mała w tenisówkach i skarpetkach i dziwnie dziecinna w granatowym fartuszku z białym kołnierzykiem — ale głos jej brzmiał inaczej niż zwykle. Miękko, po kobiecemu powiedziała kilka nieważnych słów i to wystarczyło aby zrozumiał, że przed nim nie stoi dziecko — tylko dziewczyna — kobieta z delikatnym rumieńcom na okrągłej buzi i nie wiadomo czemu zawstydził się wzruszenia, jakie go ogarnęło. Uczył ją ósmy rok, a sam był młody.

Patrzył na drnboe usta złożone w podkówkę i pytające, zdziwione oczy. Rozległ się dzwonek.

2. LEKCJA

Roześmiana Irka przeskakując po dwa stopnie zbiegała na dół. W ósmej gimnazjanej nie wypada już zjeżdżać po poręczy. Ma prawie osiemnaście lat, wkrótce zda maturę, a poza tym nosi gazowe pończochy — trzeba uważać.

Oczy śmieją się łobuzersko. Tango „tęsknota" urywa w połowie, aby zaprodukować koleżankom walca. Z piosenką na ustach „ty jesteś inna niż wszystkie" otwiera ciężką, gimnazjalną bramę. Niechcąco potrąciła polonistkę, ale przeprosiła układnie i śpiewa dalej. Zdaje się, że cały świat do niej należy. W jednej ręce niesie teczkę, a w drugiej beret.

Irka Bilińska ma impulsywną, marzycielską naturę i swoisty sposób patrzenia na świat, ale wie, że nie wszystkie myśli można wypowiadać głośno. Na pewno nikt nie posądziłby tej żywej, wesołej dziewczyny o melancholię. Jednak teraz oczy zasnuły się mgłą, pieszczotliwie obejmuje wzrokiem drzewa ulicy Piekarskiej. Jak dobrze zna codzienną drogę do szkoły! Jak beztrosko śmieją się znajome ulice!

Lwów, w którym się wychowała jest bliski, jasny, słoneczny. Otoczona zbytkiem, dobrobytem nie dostrzega nędzy — a może nie chce dostrzec? Może celowo czasem przymyka oczy?

Wtem usłyszała przeraźliwy krzyk. Auto potrąciło przebiegającego jezdnię gazeciarza. Grupa ludzi otoczyła nędznie ubranego wyrostka, kierowcę zatrzymał policjant i zapisał numer samochodu.

Chłopca przeniesiono do apteki.

Ulica zszarzała.

Na bruku pozostały rozrzucone pisma.

Wzrok Irki padł przypadkowo na kartkę gazety „Wiek Nowy".

Dwudziesty wiek, epoka wynalazków, umocniona przeświadczeniem, że technika ułatwia życie, maszyna wypiera mięśnie — a przy tym — zło, ubóstwo...

„Wiek Nowy" unosił wiatr i rozrzucał kartki w różne strony.

W poszukiwaniu nowych dróg nasz wiek nowy zmienia kierunki za lada podmuchem wiatru — myślała Irka.

Gazeciarz wielkiego miasta — maleńka cząstka społeczeństwa oderwana, samotna, dzieciństwo, wprzągnięte w służbę codziennej gazety.

Co też ten mały robi z zarobkiem? Może jego matka czeka na pieniądze? a może on przepija zarobione grosze?

Choć istoty nędzy nie rozumie, bo nigdy się z nią bezpośrednio nie zetknęła, instynktownie czuje, że są sprawy, które płyną własnym, wartkim nurtem, a ona nie ma do nich wstępu.

Dobra, delikatna Irka burzy się pod wpływem tych uczuć. Wyrywają się ostre słowa, potępiające niewiadomo co, które tłumi natychmiast. Wychowanie opancerzyło ją maską.

Wolno podchodzi do domu w którym mieszka.

Wstępuje na pierwsze piętro. Na drzwiach wizytówka: Tadeusz Biliński, prokurator sądu apelacyjnego.

Irka dzwoni.

3. LEKCJA

W białej klasie było cicho.

Przy piętnastu stolikach siedzą uczennice. Uważnie słuchają lekcji. Trzy rzędy główek dziewczęcych, 30 par oczu wpatruje się w profesora. Co powie?

Ostatnia lekcja przed maturą.

Oddechy dziewczęce splotły się w jeden oddech kobiecy. Za oknami czeka wiosna.

Profesor mówił:

— Egzamin to kilka minut, po których otrzymuje się świadectwo, wynik wysiłków, trud w zdobywaniu dojrzałości, osiem lat życia, wtłoczonych w ramy klas i przepisów, godziny, przewidziane programem.

Pójdziecie w świat! Nie będzie tam jednakich stolików, równych korytarzy ani lekcji, przewidzianych z góry, lata podzieli wyższa matematyka tysiąca niewiadomych, przyjdą dnie o godzinach niewymiarowych, miesiące, wydające się wiekiem i minutą — i nie skończy się wasza nauka.

Z praw fizycznych zachowacie kilka określeń: napięcie, natężenie, prawo oporu. Te ważne będą może tylko w odniesieniu do napięcia nerwów, natężenia uczucia i oporu jednostek silnych. Filozofię Kanta puścicie kantem, zapomnicie o nadczłowieku (Nietzsche) w poszukiwaniu ludzi, nieraz ogarną



was nastroje schopenhauerowskie w pı
mowych chwilach.

Termopile, Waterloo, wielkie dzieje
ną daleko, bo każda z was stworzy ma
historię własną. Cytaty literatury zam
się w proste codzienne zdania, franc
present i passé defini zniknie z powier
myśli, przyjdą czasy, o których marzył
od pierwszego dnia rozpoczęcia nauki.

Nie będzie przerażać niemieckie Zuk
i Zukunft II, przyszłość ukaże się sama,
niunctivus straci na powadze. Sim, si
pokonacie z łatwością, „byłabym" nie
nieje, nie ukaże się w potocznym języka
i zdania wybujałej fantazji, zaczynając
od „gdyby".

Trzeźwo patrzymy przed siebie. Inter
nas fantazja życia i lekcje, których lek
nazywać się nie będzie, nauka czynów
magająca częstych egzaminów.

Jako przyjaciel proszę tylko o jedno
zrażajcie się stopniem niedostatecznym.
zdarzy się kiedyś, że nie zdacie egza
dnia powszedniego, choćby i niespraw
wie (ktoś zapomniał nauczyć się jakiejś
nej partii) zaczynajcie ukuwać po szkoln
od początku. U nas wkuwałyście martv
tery, poza szkołą kuć będziecie los.

Dokładnie, powoli wgłębicie się w i
bytu w najtrudniejszej nauce przetrw
masie życia nadacie kształt bliski, pojedy
własny, lata wyrzeźbią zagłębienia w
kach ust — uśmiechu lub goryczy, o
blaski i cienie w spojrzeniu źrenic, nac
prężność muskułom, widoczną w ruchac
lub zmęczą.

Posmutniały młode twarze. Profesor o
nastrój i natychmiast przybrał beztrosk

Moje panie! Lekcji będzie milion —
podziału godzin, o każdej porze dnia i
czora, a ... profesorzy zgłoszą się sami.
pójdziecie wtedy na wagary. Punktu
w oczekiwaniu na wykłady serce bić b
jak podczas odpowiedzi przy tablicy,
mapie.

Różnicę dostrzeżecie jedną. Nasze go
kończył ostry, głośny dzwonek, na który
kałyście z utęsknieniem. Kiedyś dzwo

Wśród spadłych liści...

Fot: „Eurofot"

Tekst: Stef-Kra



Na pajęczych, srebrnych niciach
Odbiegł lata czar...
Znów rok jeden mija życia,
Na pajęczych, srebrnych niciach
Skonał ptasząt gwar...

Jeno wokół pól pustkowie,
Jeno spadły liść...
Bajki szczęścia już nie powie
Poszarzałych pól pustkowie,
Chłód zaczyna iść...

Zwiozą ludzie zeschłe liście
Z gór — do swoich chat...
Jeszcze zalśnią raz złociście
W bladym słońcu zeschłe liście,
Znacząc drogi szmat.

Za podściółkę służyć będą
Aż po Wiosny Świt...
W dniach — co tak się zaczną dłużyć,
Za podściółkę będą służyć,
Śniąc chwil jasnych mit...



nie będzie. Może wymarzycie sobie jakąś godzinę i zapragniecie gorąco, by nigdy się nie skończyła, może zamiast dzwonka usłyszycie jedno słowo, które przypomni ostatnią minutę bardzo smutnej lekcji, może w wspomnieniu wróci wykład dzisiejszy. Pamiętajcie zawsze: jak w szkole, tak w życiu po jednej godzinie przychodzi następna — po pauzie zadźwięczy znów dzwonek lub słowo powitania.

Lekcje, lekcje, lekcje...

Kiedyś pojmiecie, że ja nie byłem najgorszym profesorem. Niedostatecznie u mnie można było zmazać, doświadczenie powtórzyć — i moje lekcje zapominałyście szybko — lekcje życia pamięta się długo...

4. LEKCJA

— Leszek! Podoba ci się mój kapelusz? Prawda, że jest cudny! — i pantofle mam nowe. Powiedz! czy nie jestem duża? Popatrz! na takim bardzo wysokim obcasie. Leszek! Jak ja się cieszę, że jestem dorosła! Gdy żegnałeś się ze mną rok temu, dwa dni po maturze — pamiętasz? byłam zupełnie inna.

Irka zarzuciła młodego mężczyznę gradem zdań.

On pochwycił jej obie dłonie i delikatnie przyciągnął ku sobie.

— Irus! Dla mnie pozostaniesz zawsze tą samą. Kochanie! Świat cię nie może zmienić. Wiedeń porwał cię na rok, ale na więcej nie pozwolę. Moja Irka może mieć dwudziestocentymetrowe obcasy, ale dla mnie pozostanie maleńką — zawsze — na zawsze.

Schodzili z Wysokiego Zamku zapomnianą, nawpół dziką ścieżką, wijącą się przedziwnie, nakreślającą łuki, nierówną, kapryśną jak wiosna 1938 roku, obfitującą w słoneczne i burzliwe dni.

Irka wróciła przed tygodniem z Wiednia. Przebywała tam 11 miesięcy. Gruntowne przyswojenie sobie języka niemieckiego miało być wstępem do studiów germanistyki.



W tym celu też wysłał ją ojciec do swoich krewnych, mieszkających w stolicy naddunajskiej.

Pan prokurator odrzucał sentymenty i czułostkowość, kochał córkę na swój sposób i uważał, że dziewczyna po maturze powinna wyjechać za granicę. Do swoich przyjaciół mawiał często: Gdyby miała matkę, to co innego, nie pozwoliłbym na wyjazd, ale sierota bez rodzeństwa, stykająca się od dzieciństwa tylko ze mną, powinna użyć trochę swobody.

Ojciec postanowił i Irka poddała się jego woli.

Przyjechała po roku radosna, śliczna, elegancka, młodziutka, wytworna dama, łącząca harmonijnie wdzięk i powagę.

Nic dziwnego też, że Leszek Łuczański, jeden z najmłodszych lwowskich sędziów, bardzo zdolny mowca, którego już od dwóch lat łączyła nić sympatii z Irką nie odstępował jej ani na chwilę.

Dopiero po jej powrocie zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo była mu droga.

Rozumieli się doskonale. Jako dwudziestoośmioletni mężczyzna podziwiał zdrowe zasady i pogląd na świat młodziutkiej dziewczyny, zastanawiała go logika, trzeźwy sąd o ludziach, a przy tym delikatna kobiecość, wabiąca spojrzeniem, ruchami i dźwięcznym głosem.

Młodzi zbliżali się do przystanku tramwajowego.

— Leszek! Pojedziemy do Wałów Hetmańskich, a potem pójdziemy pieszo! Dobrze?

— Zgoda! ale pod jednym warunkiem — odpowiedział. — Dziś zabiorę ci cały wieczór.

Wsiedli do tramwaju i po kilku minutach znaleźli się koło kawiarni wiedeńskiej.

Ożywieni szli dalej, po kwadransie byli już w mieszkaniu państwa Bilińskich.

Weszli do niebieskiego pokoju Irki.

— Pozwolisz, że przyjmę cię u siebie. Jadalnia jest ciemna, ponura, oficjalna, nie pogniewasz się „panie sędzio". Prawda? Możesz usiąść na fotelu, krześle, tapczanie. Wybieraj!

— Koło ciebie, Iruś!

Usiadł na tapczanie i przez chwilę nie mówił nic. Patrzył przez okna. On, zdolny prawnik, przedstawiający barwnie sprawy obcych nie mógł znaleźć odpowiednich wyrażeń na określenie własnych uczuć.

Wreszcie zaczął.

— Idzie się drogą długie lata i czeka na człowieka. Mężczyzna czeka na kobietę i kobieta na mężczyznę. Każdy marzy o jednej i każda marzy o jednym. Po obu stronach drogi narzuca się kilku ludzi „przydrożnych". Przydrożni są dla wszystkich, przydrożni bawią krótko. Odwracamy się od nich obojętnie i szukamy dalej. Ktoś przyjdzie do nas — ktoś musi przyjść — wierzymy.

Zjawia się. Oczy przesłania drugą parą oczu, podaje ramię i mówi: jestem. Zmysły podpowiadają cicho: to ta. Serce uderza: to ten.

Iruś! W każdym z nas tkwi uczucie i nie powinniśmy nigdy ukrywać tego odwiecznego skarbu człowieczeństwa. Niektórzy ironicznie śmieją się z sentymentalnych wyznań miłosnych. Czemu? Tkwią w nas, są z nami, ludzkie, dobre, odwiecznie stare.

Ja ciebie kocham!

Do warg Irki zbliżyły się gorące wargi mężczyzny, wpijające się z siłą, zaborcze, tamujące oddech, rozchylające namiętnie — i płomienie warg jednych przerzuciły się na drugie.

— Zostaniesz moją żoną! Za miesiąc! Wyszeptał.

5. LEKCJA

Pod oknami gabinetu Leszka Łuczańskiego rósł jaśmin. Kwitnący krzew pochylał się ku szybom. Gdy okna były otwarte wkradał się do pokoju. Może ten jaśmin właśnie i ogród za oknami sprawił, że Irka najchętniej przebywała w pokoju męża.

Od trzech miesięcy mieszkali w Krakowie, młodego sędziego przeniesiono do apelacji krakowskiej.

Irka stopniowo przyzwyczajała się do nowego otoczenia. Komfortowe mieszkanie w willi na Salwatorze urządziła ze smakiem i czuła się w nim bardzo dobrze. Nie szukała towarzystwa, najchętniej przebywała w domu. Teraz wtuliła się w skórzany fotel klubowy i myśli o mężu, o tym jak go bezgranicznie kocha.

Wzrok padł na oszkloną bibliotekę. Na pierwszej półce w równym rzędzie stoją dzieła prawnicze: kodeks cywilny, kodeks karny, prawo wekslowe, prawo górnicze, a na drugiej półce: encyklopedia, dzieła zbiorowe trzech wieszczów, wiersze Rimbaud, „Księga San Michele" Axel Munthe'a, „Faust" Goethego, poezje Asnyka, „Potrety kobiet wybitnych", Ammers Küller, „Noce i dnie", Marii Dąbrowskiej, „Życie", Bojera, „Olaf, syn Auduna", Undset, „Maria Curie", Ewy Curie, książki, które ona ukochała.

Z sympatią patrzy na ten różnorodny świat refleksji, artyzmu i genialnych pomysłów autorów.

Jak dokładnie pamięta pierwszą rozmowę na ten temat z Leszkiem. Mąż niejednokrotnie nie zgadzał się z nią na punkcie literatury. Często nie odpowiadała mu wolnomyślność wielkich pisarzy i brak umiaru.

Irka z kolei krytykowała martwą literę prawa i usiłowała przekonać sędziego, że paragrafy kodeksów nie zawsze można właściwie stosować do ludzi, że życie przeciwstawia nieubłagane prawa własne.

Stopniowo, w miarę współżycia rozumieli się coraz lepiej. Ona nauczyła go podziwiać strofy poezji, podczas spacerów narzucała mu tezy oryginalnych nowoczesnych myślicieli, on powoli wciągał ją w ciekawe zagadnienia prawnicze, w świat swoich zainteresowań.

Wychowywali się wzajemnie doskonałymi metodami, które dyktowała podświadomie głęboka miłość.

Książki na półkach były ustawione równo, nie przechylały się ani w jedną ani w drugą stronę, nie przeszkadzały sobie, ale stały zupełnie blisko, podobnie jak refleksje i sposób rozumowania małżeństwa Łuczańskich.

Głos Leszka wyrwał ją z zadumy.

— Iruś! Dzień dobry! Skończyłem rozprawę wcześniej. Cieszysz się? Prawda?

Irka roześmiała się głośno! — Naturalnie! Panie sędzio! Oskarżony winny, czy niewinny? Odpowiedz prędko!

Leszek spoważniał.

Dokończenie nastąpi



Miłość krasnoludka

W szczelinie wielkiego głazu
wśród krzaków, na końcu ogródka
zamieszkał pewnego razu
karzełek Srebrnabródka.

Nocami wśród kwietnych gąszczy
opadłe zbierał gwiazdy
lub na skrzydełkach chrząszczy
szalone urządzał jazdy.

W dzień biegał po zagonkach
w czerwonych pantoflach na nóżkach
lub tańczył z promykiem słońca
po żwirowanych dróżkach.

Aż raz zakochał się w róży
co w koło pięknością słynie.
I serce swoje zanurzył
w miłości jak w słodkim winie.

Kochał ją mocno, gorąco,
zcałował z ócz jej rosę
na skrzypcach majową nocą
grał dla niej pieśni miłosne.

W południe gdy słońce rozgrzane
wysusza listki i piecze
Przynosił jej wodę źródlaną
w maleńkiej czerwonej czapeczce.

Tulił jej główkę do piersi
łzy szczęścia w oczach mu stały
i płatki pachnące jej pieścił
i gorzał miłością cały.

Aż raz gdy przyszedł rankiem
by pocałować ją w usta
nie było na grządce kochanki
bo grządka świeciła pustką.

Tylko przy ziemi nisko
łodyżki plamkę białą
odnalazł, i kilka listków.
To wszystko co z róży zostało.

O... nie rozpaczał i nie łkał,
lecz pękło serce karzełka.

A gwiazdy srebrem płakały
i księżyc pogrążył się w smutku
że umarł karzełek mały
że nie ma już krasnoludka.

I głaz wśród krzaków gąszczy
wciąż pustą świeci szczeliną
i buczą po nocach chrząszcze:
„Karzełek... karzełek zginął".
Mnie jednej wiadomo o nim
że serce karzełka latem
Wyrasta na kwietnym zagonie
czerwonej róży kwiatem.
Co rok na kwietnym zagonie
serce karzełka płonie.

Bo miłość gorąca, serdeczna...
o... taka miłość jest wieczna.

Krystyna Wodnicka



Leśne gody

L. WEINERT

Marynia, kucharka w dworze i Piotr, gajowy, mieli się ku sobie. Że zaś ślub uzależniony był od zebrania odpowiedniego wiana, rozsądna Marynia powstrzymywała zapędy miłosne Piotra odkładając je do sposobniejszej chwili.

Owszem, Piotrowi podobała się zapobiegliwość Maryni, ale żeby tak czekać bez żadnego „zadatku" do nieokreślonego czasu, to mu się nie uśmiechało. Każdą okazję starał się wykorzystać, aby uszczknąć coś z należnych mu praw, dotychczas jednak bez skutku. Marynia miała bowiem szybką wymowę i ciężką rękę i w mig odparowywała jego zaloty, chociaż byli tak jak po słowie.

Jeśli dla Piotra za długie wydawało się czekanie, to niemniej i Marynia nie była z kamienia. Czekała jednak z decyzją do upragnionego momentu, aż kasa małżeńska będzie dostatecznie napełniona. Na „zaliczki" nie mogła pozwolić. Musiała przecież dbać o dobrą opinię. W każdym razie nie szczędziła wysiłku, aby przyspieszyć ten dzień i odkładała nie tylko swoje zarobki, ale zabierała także Piotrowi jego napiwki i chowała do dobrze zabezpieczonej kryjówki.

Wczoraj, równocześnie z pierwszym podmuchem wiosennym, zaczęło się tokowanie głuszców, a na dzisiejsze popołudnie zapowiedzieli się goście na polowanie. Otworzyła się więc nadzieja na obfitsze napiwki: dla Mani za przyrządzanie herbaty i bigosu myśliwskiego i podawanie do stołu, jak również za inne usługi dla wygody panów myśliwych, a dla Piotra za pomoc w naprowadzaniu ich na dobre stanowiska dla zdobycia nagrody myśliwskiej. Zapowiedziani goście byli to bogaci panowie z miasta, dla których rzucenie jednej czy drugiej dziesiątki było bagatelką.

Te i tym podobne myśli chodziły po głowie Maryni podczas gdy zbliżała się energicznym krokiem do małego domku myśliwskiego w środku rewiru leśnego, gdzie goście mieli przenocować. Wyglądała jeszcze okazalej jak zwykle, co pochodziło stąd, że jako dziewczyna doświadczona i przezorna włożyła na siebie „strój myśliwski". Wprawdzie na zewnątrz niczym się nie różnił od zwyczajnego, ale składał się za to z dwóch grubych kaftaników i dwóch niemniej grubych sztuk dolnej garderoby. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że nie tylko Piotr, ale i wszyscy niedzielni myśliwi lubią „poszukiwania", zwłaszcza gdy dziewczyna jest młoda i ładna.

Dźwigała dwa kosze pełne naczyń kuchennych, a obok niej kroczyła uroczystym a zamaszystym krokiem panna Agata, na której potężnych barkach piętrzyła się góra produktów różnego rodzaju.

Panna Agata dźwigała na sobie prócz tego pokaźną ilość lat. Słuch i rozum miała nieco przytępiony, ale poza tym była zdrowa jak rydz i wcale jeszcze do rzeczy. Czuła się również zadowoloną z życia, że nic nie mogło zamącić jej pogodnego spoglądania na świat. Wyrażało się to beztroskim uśmiechem, który nie schodził nigdy z jej ust.

Właśnie wkraczały w gęstwinę, gdy nagle dał się słyszeć jakiś dziki okrzyk i z zarośli wypadł naprzeciw nich Piotr. Jego błyszczące oczy i wyciągnięte ramiona nie dopuszczały żadnej wątpliwości, że zamiary zakochanego chłopca należą do serii jego usiłowań dla uzyskania zadatku. Marynia jednak wymknęła się zręcznie z jego uścisku i odłożyła kosze na bok, a ruch jej ręki miał wymowę wcale niedwuznaczną.

— Chodź tylko bliżej, to zobaczysz — ostrzegła go. — Ty wiesz, że teraz nie mam głowy na takie głupstwa.

Ostrzeżenie brzmiało tak groźnie i poważnie, że Piotr stanął jak zlany zimną wodą i tylko skarżył się płaczliwie:

— Ależ Maniu, nie bądźże taka twarda. Przecież dzisiaj mamy pierwszy dzień tokowania.

— Ach, wy zawsze macie jakąś wymówkę. Raz to się nazywa tokowanie głuszców, drugi raz gonienie się jeleni, a wam chodzi tylko o to, żeby mieć okazję do głupstw.

— Weż to — tu wskazała rozkazującym gestem na odstawione kosze — i nieś. Przynajmniej dasz mi spokój, jak będziesz miał ręce zajęte.

Piotr z westchnieniem wziął obydwa kosze w ręce i dalej szli już we trójkę przez las. Maria w milczeniu i głęboko zamyślona; pewnie obliczała ile przyniesie do jej kasy dzień tokowania i zastanawiała się nad tym jak najlepiej się urządzić, aby kasa była obfita. Agata również bez słowa, gdyż jej za całą rozmowę i myślenie wystarczał uśmiech, pełen wyrazu. Za to Piotr gadał za ich troje. Opowiadał, że właśnie wraca z podsłuchu, i że koguty podczas rannego tokowania zachowywały się jak szalone. Jeśli pogoda nie zawiedzie, polowanie będzie tak wspaniałe jak nigdy. Ale z tymi myśliwymi miastowymi będzie miał krzyż pański. Piotr słyszał bowiem, że wszyscy ci panowie nie mają pojęcia o polowaniu i dopiero chcą zostać myśliwymi. W czasie „podskoków" trzeba będzie ich ciągnąć, bo żaden z nich nie wie, kiedy mają się rzucić. Nie wiedzą na pewno czy to co usłyszą to jest „kłapanie" czy właściwe „szlifowanie" czy też tylko „korkowanie".

— No — zakończył — zrobię co będę mógł. A gdy się nie uda, a te szczury miejskie będą chciały mieć mimo wszystko swoje głuszce, ustrzelę je sam. Ale za to będą musieli bulić osobno.

Za te rozsądne wywody otrzymał wreszcie Piotr gorące spojrzenie. Ale intencja tej „gorącości" okazała się niebawem, gdy Marynia w uzupełnieniu dodała:

— Tylko żebyś mi zaraz wszystko oddał; wszystko, zrozumiałeś? Gdybyś mnie chciał oszukać, zaraz poznam po twojej minie. A wtedy wszystko między nami skończone.

Gdy przybyli wreszcie do domku myśliwskiego, Marynia objęła komendę nad Agatą i Piotrem i zapędziła ich zaraz do roboty. Agata, jak zwykle uśmiechnięta i milcząca, a Piotr tokujący jak głuszec zwijali się raźno i wnet robota była ukończona. Cały dom był przepełniony zapachem wonnego jałowca, a w wielkiej izbie, w której miała się odbyć uczta, wisiała na ścianach cała masa trofeów myśliwskich. Między innymi było tam kilka par wypchanych głuszców, a wśród licznych okazów rogów jelenich, można było zobaczyć całą głowę rogacza perukowca. Dziwny ten okaz należy do rzadkości i słusznie właściciel majątku szczycił się jego posiadaniem.

Przybył właśnie do domku, aby osobiście doglądnąć przygotowań na przyjęcie gości, Marynia bowiem pierwszy raz spełniała tak odpowiedzialną funkcję; dotychczas jej obowiązkiem było tylko zajmowanie się kuchnią. Znalazł jednak wszystko w porządku i uspokojony poszedł na przegląd rewiru leśnego, w którym miało się odbyć polowanie.

Gdy „powietrze było czyste", Piotr zaczął znowu wodzić oczyma za krzątającą się Manią.

— To jest świństwo marznąć za przepierzeniem obok komory — oznajmił całkiem nieoczekiwanie i zaszczękał przy tym żałośnie potężnym uzębieniem. — Mógłby się ktoś zlitować i pozwolić wcisnąć się do ciepłego łóżeczka.

Ale Marynia nie znalazła zrozumienia ani dla skargi ani dla przymówki.

— Ładny z ciebie myśliwy — ironizowała. — Bierz sobie przykład z twoich tokujących głuszców. Prawdziwy kogut siedzi całą noc na gałęzi w czasie zimna i deszczu i wcale nie marznie.

Powoli nadeszła godzina, w której oczekiwani goście mieli się zjawić. Przyszła Agata, aby wytrzeć z kurzu krzesła. Na jej widok strzeliła Maryni pewna myśl do głowy.

— Uważaj dobrze, Agato, co ci powiem.

Agata otworzyła szeroko usta z wyrazem wielkiej uwagi i uśmiechnęła się jeszcze szczerzej jak zwykle.

— Gdy już będziesz gotowa z robotą, sprawdź jeszcze raz, czy pali się dobrze we wszystkich pokojach — ciągnęła dalej Maria donośnym głosem prawię tuż nad uchem Agaty.

— A dy wiem — zapewniła Agata równie donośnie, uśmiechając się promiennie.

— A potem znikniesz. Panowie myśliwi nie mogą cię tu widzieć.

— A dy wiem — powtórzyła z niezmiennym uśmiechem i intonacją.

— Więc wejdziesz cichutko do pokoiku obok kuchni i położysz się do łóżka. I masz tam leżeć cicho, rozumiesz?

— A dy wiem — zawołała znowu rozpromieniona.

— Dam ci potem coś dobrego do zjedzenia i bombę piwa. Dostaniesz też kielich jałowcówki. Ale żebyś ani słówkiem nie pisnęła, jak się jakiś myśliwy znajdzie obok ciebie, bo cię zastrzeli.

— A dy wiem — zgodziła się na wszystko promieniejąca szczęściem Agata.

Wreszcie zjawili się goście ze stolicy, wszyscy we wspaniałych, wprost spod igły, strojach myśliwskich, z olbrzymimi piórami u kapeluszy. Po podwieczorku usadowili się wygodnie w pokoju obok jadalni, aby porozmawiać o sprawach myśliwskich.

Po jakimś czasie zaczęli goście odczuwać potrzebę rozejrzenia się po przytulnym domku myśliwskim. Pierwszym, którego zobaczyła Marynia, przygotowująca właśnie w jadalni kolację, był tęgi, mały pan w średnim wieku. Miał na sobie piękny ubiór myśliwski obficie obszyty zielonymi naszywkami. Zjawił się na polowaniu nie dlatego, że dowiedział się o tokowaniu głuszców, ale dla omówienia interesów z podobnymi do siebie myśliwymi. W paradny strój i broń myśliwską ubrał się dlatego, bo słyszał, że będzie zdjęcie grupowe. Bardzo go interesowały rozwieszone po ścianach jadalni osobliwe okazy, które oglądał szczegółowo dziwiąc się i kiwając głową. Nagle wzrok jego padł na głowę rogacza perukowca. Mały pan, który nie tylko na polowaniu ale i na zoologii nie bardzo się wyznawał, stanął w osłupieniu. Nie mogąc sam znaleźć wyjaśnienia tego dziwu natury, zwrócił się do Marii, gorliwie krzątającej się po izbie.

— Może mi panienka wyjaśni, co to za dziwne zwierzę wisi tu na ścianie? Gdyby nie ta fryzura na głowie zamiast rogów, powiedziałbym, że to jest rogacz!

— Właśnie to jest rogacz perukowiec. Jest on taki sam zwyczajny rogacz, jak i inne, ale u niego nie jest wszystko w porządku.

— Tak? — zdziwił się gruby pan — a cóż u niego nie jest w porządku?

— Jakby to powiedzieć . . . jemu brak jest tego, co z niego robi dopiero prawdziwego rogacza.

Mały pan nie mógł wyjść z podziwu.

— Co panienka mówi! I z tego dostał taką trwałą ondulację? Jak to opowiem moim kolegom, to za głowy się chwycą z zadziwienia.

— Właśnie — zgodziła się Maria — a tymczasem gruby myśliwy pozostawił swojemu losowi przedmioty na ścianie i zaczął szybko poruszać palcami w kieszeni kamizelki.

— Dziękuję panience za wyjaśnienie. To jest nadzwyczaj interesujące. Nie chce się wprost wierzyć, że coś podobnego istnieje. A panienka umie to tak zrozumiale wyjaśnić. Może panienka będzie miała jeszcze później — to jest wieczorem po ukończeniu pracy w kuchni — chwileczkę czasu . . .

Mały pan był tak przejęty swoją żądzą wiedzy, że musiał chwileczkę wytchnąć zanim dokończył. Przerwę wykorzystał na to, aby wyciągnąć z kieszeni kamizelki palec wielki i wskazujący i wcisnąć je w wysuniętą na spotkanie rękę dziewczyny.

— Dziękuję bardzo — przerwała Maria chwilę kłopotliwego milczenia i w promiennym uśmiechu pokazała swoje wspaniałe zęby, chociaż właściwie w tej chwili nie było jej do śmiechu, bo dwie jej niezłomne zasady życiowe znalazły się nagle w gwałtownej ze sobą walce. „Tak" nie mogła rzec, bo z zasady na „takie" rzeczy się nie godziła, tym bardziej z taką starą, grubą baryłą, a „nie" nie wypadało powiedzieć, bo dla ludzi, którzy mieli zamiar dołożyć coś do jej małżeńskiej kasy, miała znowu z zasady przyjaźń i wyrozumiałość. W tej nieprzyjemnej sytuacji usiłowała zyskać na czasie przez przeliczenie zawartości dłoni (było tam — jak wyczuła — 5 wielkich sztuk srebra) i wetknięcie jej za podwójny pancerz stanika, co starszego pana, który drżąc z oczekiwania obserwował jej ruchy, niezmiernie interesowało. Gdy załatwiła się z tą czynnością, miała już i wyjście gotowe.

— Miałabym może czas — objaśniła — ale dopiero około dziesiątej. Niech pan zajrzy do kuchni, a gdyby mnie tam nie było, proszę wejść do małego pokoiku obok. Ale z rozmową proszę sobie dać spokój. Gdy się od rana do nocy stoi na nogach, nie ma się ochoty na takie rzeczy. Zresztą będzie już wtedy całkiem ciemno. Niech pan uważa, żeby się pan gdzieś nie potknął, bo narobiłby pan hałasu. Ale może pan zostać tylko chwilkę.

Mały, gruby pan sapał tak ciężko, że nie był zdolny do wypowiedzenia słowa, tylko żywo potakiwał ruchem głowy.

Również i dwom innym, równie interesującym myśliwym, którzy zjawili się w jadalni dla podziwiania dekoracji ścian, miała Maria okazję powtórzyć swoje uprzejme „dziękuję bardzo" i wypowiedzieć zapewnienie zaczynające się od słów „miałabym może czas", a kończące się zdaniem „ale może pan zostać tylko na chwilkę".

Wnet po tym musiała pospieszyć do kuchni skąd doszedł ją zapach spalenizny, a i goście usadowili się do kolacji i zabawiali się tymczasem opowiadaniem anegdot myśliwskich. Ponieważ jednak wcześnie rano miał nastąpić wymarsz, poszli wszyscy zaraz po kolacji do łóżek, a Maria uprzątnęła szybko jadalnię, wsunęła naczynie do kuchni pod stół, obejrzała jeszcze raz wszystko badawczo i zgasiła światło. Gdy to się stało, weszła cichutko do pokoiku po drugiej stronie bramy, zamknęła za sobą drzwi na klucz i zdjęła obydwa dodatkowe staniki, które teraz były już niepotrzebne. Zrobiła sobie z nich poduszkę, wyciągnęła się z rozkoszą na szerokiej, wygrzanej ławce koło pieca i zaczęła wymacywać większe i mniejsze wypukłości swego mocno opiętego stanika, aby przez dotyk z grubsza obliczyć stan swojej kasy. Przy tej przyjemnej czynności zasnęła i wnet zaczęła tak spokojnie i mocno oddychać, jak to zwykli czynić ludzie mający spokojne sumienie. A spała tak mocno, że nie słyszała, jak tam z drugiej strony bramy od czasu do czasu coś cicho stąpało, szurgotało i skrzypiało. Ale takie nocne odgłosy są zwykłą rzeczą w każdym starym domu myśliwskim.

Gdy następnego dnia rano myśliwi wracali jeden po drugim z polowania, przynosiła im Maria śniadanie z tak niewinną miną i tak wdzięcznym uśmiechem, a wyglądała tak świeżo i apetycznie, że nie można się wcale dziwić, że wszystkie oczy zwracały się za nią zachwycone i towarzyszyły jej z błogim wspomnieniem. Nie można się również dziwić, że przy pożegnaniu gości hoża dziewczyna musiała stale powtarzać swoje „dziękuję bardzo" i często wsuwać rękę za stanik, wyraźnie teraz dźwięczący i szeleszczący.

Jeszcze Maria nie ukończyła tego zyskownego zajęcia i ostatni goście jeszcze nie odeszli, gdy zjawił się Piotr.

— No, pokaż co masz — rzekła krótko. Piotr pod jej spojrzeniem z kwaśną miną wsadził rękę do kieszeni i zaczął w niej grzebać. Maria obserwowała go bacznie. Gdy wreszcie wyjął rękę z kieszeni i wyciągnął ku niej, otaksowała jednym pewnym spojrzeniem jej zawartość. Była widocznie zadowolona z lustracji, bo bez słowa chwyciła szybko za plik pieniędzy, wsunęła je za stanik do innych swoich zdobyczy i tym gestem zakończyła całą dyskusję.

Ale Piotr nie uważał sprawy jeszcze za skończoną. Ten wbrew wszystkim dotychczasowym doświadczeniom dostał tak nagłego napadu czułości, że rzucił się na swoją ofiarę jak głuszec-kogut na swoją samkę, w tym tylko różniąc się od tych ptaków, że pominął wszystkie trzy stadia wstępne: kłapanie, szlifowanie i korkowanie i chwycił tak mocno za dźwięczącą i szeleszczącą kasę małżeńską, że Maria tylko dzięki energicznym ruchom rąk i nóg mogła się uwolnić z uścisku.

— Puść mnie, ty głupcze — wstała z błyszczącymi gniewem oczyma. — Sto razy ci już mówiłam, że przedtem nie pozwolę się tknąć.

Ale nawet gniew Marii nie zdołał go uspokoić. Zuchwały chłopak pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

— Zapomniałaś już o dzisiejszej nocy, hę? To było nic?

Ta bezczelna odpowiedź tak zdumiała nieprzywykłą do tego Marię, że nie wiedziała co ma odpowiedzieć i tylko podejrzliwie obserwowała Piotra, ironicznie uśmiechniętego: pewnie dostał pijak flaszkę wódki od któregoś z gości i naraz ją wytrąbił. Ale ona go już od tego odzwyczai.

— No więc, co to było dzisiaj w nocy? — badała go od niechcenia.

— No — przeciągał Piotr niedbale i mrugał przy tym znacząco — zaglądnąłem dzisiejszej nocy na chwilkę do pokoiku obok kuchni. Przecież dzisiaj jest dzień tokowania, Maniu . . .

Ostatnie słowa wypowiedział już zduszonym głosem, bo w tej chwili poczuł na obydwu policzkach tak siarczysty ogień, że przez dłuższą chwilę nie widział przed sobą nic, tylko tańczące ogniste płatki. Maria zaś jak płomień rzuciła się ku drzwiom kuchennym, zza których wkrótce dały się słyszeć odgłosy, jak gdyby jakaś silna ręka biła kotlety.

Piotr stał dalej otumaniony nie wiedząc co się wokół niego dzieje, co nie przydawało zaszczytu lotności jego umysłu, zaś Agata otrzymawszy swoją porcję wykrzyknęła swoje „a dy wiem"!

Z powodu tego ognistego „tokowania" było jeszcze wiele awantur, ale ponieważ przy tym kasa małżeńska nadspodziewanie została powiększona, spór o „zadatek" został załagodzony i sprawa uzyskała szczęśliwe zakończenie. Ale Piotr musiał być nadal uległym i posłusznym swojej żonie, bo gdy tylko miał ochotę w czymś się sprzeciwić, wystarczyło Marii wspomnieć tylko słówko „Agata", na co Piotr zaraz usta zamykał i przybierał grymas, jakby mu kto zamiast porządnego kielicha czystej wyborowej wlał do gardła paskudnego denaturatu.

Tłum. z niem. **J. Plata**



Pieszczoty białych niedźwiadków.

Fot. Atlantic

PRZYPOMNIENIE



PODPALACZ

(Karykatura z IKC. Nr 298 28. X. 1936).

ROZMAITOŚCI

POMNIK KACZKI

Wioska turecka Sehis Kaszyk, zburzona całkowicie przez trzęsienie ziemi, wystawiła po swoim odbudowaniu w środku wsi pomnik kaczki. W nocy na krótko przed trzęsieniem ziemi, kaczka zaczęła tak przeraźliwie krzyczeć, widocznie przeczuwając jakieś nieszczęście, że mieszkańcy wioski pobudzili się i wybiegli z domów. Zabobonni mieszkańcy przypisywali zwierzętom instynktowne wyczucie niebezpieczeństwa i dlatego nie namyślając się długo poszli za przestrogą. I nie omylili się. Wkrótce bowiem zatrzęsła się w posadach ziemia i budynki poczęły się walić jak domki z kart. Czterdziestu mieszkańców wsi zostało uratowanych przez kaczkę. Sama kaczka jednak zginęła, bo w przerażeniu mieszkańcy zapomnieli o niej i zostawili ją w domu. Po odbudowaniu wioski ufundowano jej za to pomnik, który mieszkańcom miał odtąd stale przypominać o wybawicielce.

DOSTAŁ SIĘ NA SCENĘ PO ŚMIERCI

Pewien miłośnik sceny w Argentynie całe życie dążył do tego, aby się dostać na deski sceniczne. Usiłowania jego jednak były bezowocne: nie uznano go za zdolnego do zagrania nawet maleńkiej rólki. Przed śmiercią zapisał swoją czaszkę teatrowi w Buenos Aires, aby mogła być użyta w scenie cmentarnej w „Hamlecie". W ten sposób osiągnął swój cel po śmierci i dostał rolę w „Hamlecie".

LAS ZADOŚĆUCZYNIENIEM ZA GRZECHY

W r. 994 nabrali mieszkańcy okolic Salerno przekonania, ugruntowanego „nieomylnymi" oznakami, że wkrótce nastąpi koniec świata. Według twierdzenia kronikarza mieszkańcy gmin Rettera i Ravello ofiarowali sąsiedniemu klasztorowi w podarunku bogatą posiadłość leśną jako „zadośćuczynienie za ich grzechy". Podarunek ten uczyniony został z uwagi na zbliżający się sąd ostateczny. Mnisi chętnie przyjęli wspaniały dar. Ale gdy okazało się wkrótce, że świat wcale nie dobiegł swego końca, zażądały gminy zwrotu ofiarowanego lasu. Mnisi nie chcieli o tym słyszeć. Podczas procesu, który wnet potem został wszczęty przez poszkodowanych, powoływali się nowi posiadacze lasu na to, że upominek ofiarowany został jako zadośćuczynienie za popełnione grzechy. Strona przeciwna nie mogła temu zaprzeczyć. Spór trwał setki lat. Dopiero w ostatnich latach, po przeszło 900-letnim trwaniu, spór zakończony został polubownie.

NIE MUSI BYĆ WCALE PEŁNI KSIĘŻYCA...

Absurd, powie każdy po przeczytaniu tego nagłówka. A jednakowoż, prawda najoczywistsza, zanotowana w dziejach astronomii, że w lutym 1866 roku nie było pełni, natomiast miesiące styczeń i marzec tegoż roku miały po dwie pełnie. Obliczenia wykazują, że podobne dziwo trafia się raz na dwa i pół miliona lat.

ŚLUB... CHLEBA Z MASŁEM

Oryginalniejszego weseliska nie spotkał chyba nikt nigdy! Pobrali się — chleb z masłem! Nie jest to wcale a wcale kiepski dowcip tylko, ale fakt, autentyczny akt ślubny złożony u pewnego pastora angielskiego w roku 1926. Oto czytamy w nim nazwiska młodej pary: mister John Butter i miss Anna Bread. Dla znających angielski język, nie potrzeba żadnych komentarzy.

TAKŻE NIE BYLE „POMOC" MATEMATYCZNA

Mówimy często ze zgorszeniem: „Ani by na dziesięciu palcach tego nie zliczył!" Powiedzenie owo wypadałoby nieco zmienić i poszerzyć w zakresie cyfrowym w hiszpańskiej wiosce Cervera. Tamtejsi mieszkańcy, jakimś dziwacznym wybrykiem dziedziczności przychodzą na świat przeważnie z czternastoma palcami u rąk, mają ich zaś „normalnie" najmniej dwanaście. Komu zależy na naocznym przekonaniu się o tym fenomenie, niechaj jedzie do ojczyzny walk byków i sombrera a i nam po powrocie zda sprawę z wyniku indagacji we wsi Cervera.

JAK TO BYŁO Z... CYNAMONEM

Do stworzenia kolonij zamorskich wiele też swego czasu prócz innych względów przyczyniło się podniebienie! Z rozkwitem żeglugi odkrywczej, z napływem bogactw i wzrostem dobrobytu Europy, ludziom zachciewa się wystawniejszego życia i, co za tym idzie, nowych potraw. Gotowi są płacić za nie hojnie. Indie — to w mniemaniu minionych wieków raj smakoszów, Wielka Wystawa Cukiernicza świata. Korzenie i przyprawy były wówczas niezwykle cennym towarem importowanym. Jako przynoszące kolosalne zyski państwom kolonialnym były po drakońsku strzeżonymi skarbami i nawet wywóz nasion karano śmiercią. I tak Holendersko-Indyjska Kompania aż do zajęcia Cejlonu przez Anglię w r. 1798 podobnie ścigała naruszenie zakazu o „monopolu" cynamonowo-goździkowym.

WIECZYSTY TANIEC

Rekordy taneczne przeżyły się na szczęście dość dawno. Ale „de facto" taniec ultrarekordowy, bo najdłuższy, nie kończący się nigdy ani na jedno oka mgnienie trwa wciąż, będąc dla badacza dotąd nieogarniętym objawem tajemnicy bytu i istnienia. Tańczą szaleńczo, wirują, podskakują, wszelkie cząstki materii wzięte pod mikroskop, a badania idące w kierunku skoordynowania ich niesamowitych pląsów trwają już przeszło 100 lat. Że każda energia jest ruchem cząsteczek materii, na to dawno wpadli uczeni. Pytanie tylko, co jest bodźcem tego szaleńczego tanu molekularnych drobinek wszelakich tworów natury, co jest powodem odwiecznego karnawału materii?

EUROPA U SZCZYTU... PŁODNOŚCI!

Wiek ubiegły zaznaczył się w całej Europie wielkim wzrostem ludności. Według spisów, w r. 1804 ludność Europy wynosiła 197 milionów. W roku 1930 natomiast dochodziła już do cyfry 400 milionów. Ciekawa rzecz przy tym, że bogate bardzo kraje są już w owych czasach najmniej płodnymi! Hipotezę tę, potwierdzającą się na obserwacji przyrostu ludności w Anglii, Francji, Szwecji, ugruntowano w porównawczym ujęciu cyfr spisów amerykańskich i Europy. Spisy wykazały identyczność hipotezy. Wynika z tego, że ze wzrostem dobrobytu materialnego maleje liczba urodzin... Czyż nie parodialny stan faktyczny? A jednak, tak jest w istocie. Nie smutne to refleksje na przyszłość świata i bogatych państw?



— *Babciu, co to jest fałszywy krok?*
— *To jest coś, o czym się nie mówi z małymi dziećmi!*
— *Taaak! A ja myślałam, że to jest coś z małymi dziećmi, o czym się nie mówi.*

Rys. J. Paluch — Kraków

KĄCIK SZACHOWY NR 24

CZĘŚĆ ELEMENTARNA
OBRONA ŁOTEWSKA
(Ciąg dalszy).

Wariant II, subwariant II, kontynuowanie 3.

1. e2—e4 e7—e5	7. Sc4—e5 Gf8—d6
2. Sg1—f3 f7—f5	8. Sb1—c3 Gc8—e6
3. d2—d4 f5×e4	9. f2—f4 e4×f3ep.[4])
4. Sf3×e5 Sg8—f6	10. Se5×f3 0—0
5. Gc1—g5[1]) d7—d6[2])	11. Gf1—d3 Sb8—c6
6. Se5—c4 d6—d5[3])	Bilgner VIII wyd.

1) Całkiem błędnym jest 5. G-c4 d5 6. G-e2 G-d6 7. G-g5 0—0 8. c4? S—c6 9. f4 e×f3 10. S×f3 d×c4 11. G×c4+ K—h8 12. 0—0 G—g4 13. S—c3 H—d7! 14. H—d2 G×f3 15. W×f3 S×d4 16. W—h3 H×h3! 17. H×d4 H×h2+ z wygraną czarnych (the Kolste-Spielmann, t. m. Baden-Baden 1925).

Wariant II, subwariant III.

2) 5 . . . G—e7? (kontynuowanie 1) byłoby błędnym: 6. S—c3 d6 7. G×f6 G×f6 8. H—h5+ g6 9. S×g6 h×g6 10. H×g6+ K—d7 (10 . . . K—f8 11. G—c4) 11. S—d5 Whfg (11 . . . G×d4? 12. G—b5+ poczem 13. H—f7+) 12. G—e2 e5 13. d×c5 G×b2? (decydujący błąd, lecz czarne miały już beznadziejną partię) 14. H×d6+ K—e8 15. G—h5+ (Blackburne-Pollock, t. rw. w Anglii 1888).

3) Słabszym jest 6 . . . G—e7 (kontynuowanie 2), gdyż po 7. G—e2 0—0 8. 0—0 c6 9. c3 G—e6 10. Sb—d2 Sb—d7 11. S—e3 d5 12. b4 a5 13. a3 H—e7 14. G—h4 G—d6 15. G—g3 b6 16. S—b3 uzyskałyby białe lepszą grę (H. Wocf-Apszenck, Olimp. w Hamburgu 1930).

4) Wchodzi też w rachubę 9 . . . 0—0, poczem c5.

Wariant II, subwariant IV.

1. e2—e4 e7—e5	12. Gf1—e2 c6—c5?[2])
2. Sg1—f3 f7—f5	13. Gf4—e3 Wa8—c8
3. d2—d4 f5×e4	14. Sd2—f1[3]) c5×d4
4. Sf3×e5 Sg8—f6	15. Ge3×d4 Gf8—c5
5. Se5—g4[1]) d7—d5	16. Sf1—e3 Gf5—e6
6. Sg4×f6+ Hd8×f6	17. Gd4×c5 Sd7×c5[4])
7. Hd1—h5+ Hf6—f7	18. Sc3 d5[5])+
8. Hh5×f7+ Ke8×f7	Martinez-Pollock (t. m. N. York 1889) Schachmeisterpartien I cz.
9. Gc1—f4 c7—c6	
10. Sb1—d2 Gc8—f5	
11. 0—0—0 Sb8—d7	

1) Jest to kontynuowanie godne uwagi.
2) Przedwczesny atak w połączeniu z 13 . . . Wa—c8.
3) Bardzo dobry ruch, wprowadzający do gry skoczka (przez pole e3).
4) 17 . . . W×c5 18. b4!
5) Nastąpiło jeszcze: 18 . . . S—a4 19. S—f4 G×a2 (bardzo ryzykowne) 20. W—d7+ K—f6 21. S—h5+ K—g6 22. Wh—d1 W—c6 23. W×g7+ K—h6 24. g4 W—g6 25. h4 W×g7 26. W—d6+ W—g6 27. g5 mat.

CZĘŚĆ OGÓLNA
PROBLEM Nr. 11

E. Daris i C. S. Kipping
(I nagr. B. C. P. S. 1939)

Czarne: Kb1, Hg6, Gc2, Sf8, piony: a2, a3 (6).
Białe: Ka7, Hg5, Wb7, Wg1, Gd2, Gh7, Sb3, Sd1, piony: a4, c4, d5, f6 (12).

2-chodówka 12+6=18.
Mat w 2 ruchach.

Rozwiązanie studium Nr. 10 (Farago):
1. S—e7 W—c5 2. h6 S—e6 3. c7! S×c7 4. S—g6 i wygrywa.

Partia Nr 36

Białe: Marin — **Czarne: Capablanca**
t. m. Barcelona 1929
Gra 3 skoczków.

1. e4 c5	14. S—e4 S—d6
2. S—f3 S—c6	15. H—e2 g6
3. S—c3 g6	16. S—h2 S×e4
4. G—b5? (d4!) G—g7	17. H×e4 H×e4
5. 0—0 Sg—e7	18. d×e4 a5
6. d3 0—0	19. b4? G—a6!
7. G—c4 S—a5	20. W—e1 a×b4
8. G—b3 S×b3	21. h3 c5
9. a×b3 d5	22. G—d2 G—b5
10. h3 d4	23. S—g4 h5
11. S—e2 f5	24. S—f2 K—f7
12. e×f5 S×f5	25. S—d3? b3!
13. S—g3 H—d5	Białe poddały się.

Partia Nr 37

Białe: NN. — **Czarne: Dr Em. Lasker**
Moskwa 1899
kontrg. Albina.

1. d4 d5	11. G—d6 c×d6
2. c4 e5	12. e6 f×e6
3. d×e5 d4	13. K—c1 S—f6
4. e3?[1]) G—b4+	14. b4 d5
5. G—d2 d×e3	15. b5 S—e5
6. H—a4+ S—c6	16. c×d5 S×d5
7. G×b4 H—h4[2])	17. H—c2 S—b4
8. S—e2 H×f2+	18 S—d1+ S×c2
9. K—d1 G—g4	19. S×f2 W—d2
10. Sb—c3 0—0—0	20. Białe poddały się.

1) Lepsze: 4. S—f3.
2) 8. g3 e×f2+ poczem H—e4.

Partia Nr 38

Białe: R. Capablanca — **Czarne: Torres**
t. m. Barcelona 1929
Otwarcie Lubertorta

1. S—f3 S—f6	10. G—g2 a6
2. c4 c5	11. S—d6 H—a5
3. d4 c×d4	12. 0—0 W—b8
4. S×d4 e5?	13. Wf—d1 b5
5. S—b5 G—b4+	14. c×b5 a×b5
6. G—d2 G×d2	15. H—g5 S—a4
7. H×d2 0—0	16. S—f5 S—e8
8. Sb1—c3 S—a6	17. S—h6+ K—h8
9. g3 S—c5	18. H—e7 Czarne podd.

— A jeżeli wasz środek na porost włosów nie pomoże, to zwróci mi pan pieniądze?
— To nie, ale jeżeli trzy flaszki nie pomogą, to damy gratis czwartą.

*

— Żąda pan dodatkowej zapłaty za dwie godziny, a czemuż pan nie wyszedł z biura o 4-tej jak zwykle?
— Zasnąłem przy biurku i zbudziłem się dopiero o 6-tej.

*

— Ach gdybym tak miała przystojnego męża i parę ładnych dzieciaków czułabym się bardzo szczęśliwa.
— Jesteś zanadto wymagającą! Jabym poprzestała na brzydkim nawet mężu bez żadnych dodatków.

*

— Muszę pana uprzedzić — mówi ojciec panny do starającego się o jej rękę — że posagu mojej córce dać nie mogę, ale ma ona poważne widoki na otrzymanie 100.000 złotych.
— Co spadek?
— Nie, spadku żadnego nie możemy oczekiwać ale kupiłem jej trzy losy na loterii.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

ORĘDZIE

Dzięki, ach dzięki
swym wierszom słabym jak rosół bez kości
My
z Bożej Łaski, Wujcio z Komina
zaczynamy być w Krakowie w roku 1944
nicością szeroko znaną.

Otrzymujemy listy i karty
pisane na maszynie i nie na maszynie,
krótkie i długie, wierszowane i nie,
o kochaniu, poezji, świni i słoninie,
— listy, które Nam znoszą
zapach przeróżnych smaczności
i pokazują bez cienia
sumienia
drożdżowe ciastka szczęścia spoza szyby
anonimowej nierealności.

Ostatecznie instynkt samozachowania
resztek rozsądku Nas skłania
następujace wydać orędzie:

„Dzięki, ach dzięki!
Lecz Panie i Panowie,
miejcież do kata,
na względzie,
że jeśli wy zrobicie ze mnie wariata,
to ludzkość przez sto wieków was przeklinać będzie,
żeście wykoleili taki wielki talent.

ZIARNO KOCHANIA

Dwa razy mężczyzna was kocha,
dwa razy jedynie, nie więcej:
— W młodości raz napół dziecięcej,
— raz drugi pod życia już skłon...

(W średnim wieku w kieracie miłosnych wydarzeń
człowiek się nie przejmuje kobietą ni trocha:
kłamie, ściska, całuje bez wzruszeń i wrażeń).

Dwa razy mężczyzna was kocha
i widzi cud waszej urody,
Wy raz się krzywicie, że młody,
a potem, że stary już on...

Powiedz mi piękna dziewo, bujny szczęścia kwiecie,
Jeśli wam miłość plewą — to czegoż wy chcecie?

NIE SŁYSZAŁ JESZCZE CHRAPANIA...

Na medycynie
przy egzaminie
rzekł profesor: — A teraz przedstaw mi pan, panie
kandydacie mechanizm wdechów w czasie snu.—
Kandydat nastawiony na trudne pytanie
zbaraniał.
Drży, jąka się, recytować zaczyna bez tchu
coś dużo o letargu. Egzaminator
z uśmiechem na to:
— Proszę na temat.
Pan nie zrozumiał pytania...
Pytanie proste. Sensu najmniejszego nie ma
drżeć. Zresztą ja pana naprowadzę:
Co człowiek robi „gdy śpi?“
— Co robi, gdy śpi? Gdy śpi, nie robi nic —
— To głupi wic!
Mnie chodzi o zmiany w oddechaniu.
Naturalnie pan siebie w czasie snu nie słyszy
lecz spał pan chyba kiedyś już z kimś może?...
Gdy ów ktoś zasnął, czy nic nie mąciło ciszy? —
Kandydat drży: — „Ja się boję,
że wskróś wszystko, nie zgadnę panie profesorze,
bo gdy śpię z kimś, to wtedy nie śpimy oboje...

KRYŚCIE OPALIŃSKIEJ

Bóg Ci zapłać za luby dar, dany ukradkiem!
Serca nam teraz słodkie wiążą tajemnice
stulą rozkoszy, szczęsny więc jestem i milczę
jak hipopotam przed swym moralnym upadkiem,

i milcząc śnię o ciele Twym młodym i gładkim...
Apetyty, aniele, czuję dziwnie wilcze...
Cudna! nie dbaj o ową wierną mi dziewicę
od lat dwudziestu czterech... Kocha bom jej dziadkiem.

Zaś ona moją wnuczką!! Tego się nie liczy!
Za innym mnie kochaniem żre tęskność ognista
odkąd ukradkiem ust twych zaznałem słodyczy...

Płonę, jak do gotówki płonie humorysta...
Chciałbym... lecz mniejsza o to — głupiec dużo ryczy;
ja nie! — Cóż przy mnie papier? Kiedyż przyjdziesz,
Krysta?

Wujcio z Komina

P. S. Wchodząc nie nadeptać na prawnuka!!



— *Czy to pan wołał ratunku?*

Wiener Illustrierte

— Wiesz, że wczoraj o mało co nie przejechałem swojej teściowej samochodem.
— Ale przecież w porę chwyciłeś za kierownicę?
— Niestety nie. Dźwignia na pełny gaz nie funkcjonowała.

*

— Czy pani, nie jest przypadkiem krewną ani powinowatą oskarżonego?
— Tego ja sama nie wiem, panie sędzio, oskarżony jest drugim mężem pierwszej żony mojego trzeciego męża.

*

— Czy pan jest Krakowianinem?
— Tak w przeważnej części.
— Jakto w przeważnej części?
— No, widzi pan kiedy przyjechałem do Krakowa ważyłem 22 kg a teraz ważę 86.

*

— W tym roku żyłem w Zakopanem za psie pieniądze.
— Tak tanio?
— Nie, tylko sprzedałem rasowego psa.

*

— A będziesz mnie zawsze kochał Emilu?
— Przysięgam ci. Ty jesteś i zawsze pozostaniesz moją kochaną narzeczoną.

*

— Mam poczucie swojej wartości!
— Tak, tylko zachodzi pytanie jaką wartość ma pańskie poczucie?



— *Ależ panie, ja jestem ginekologiem, a nie okulistą.*
— *Panie doktorze ja dobrze zapłacę, proszę mnie jednak zbadać.*

Rys: Czecha — Kraków

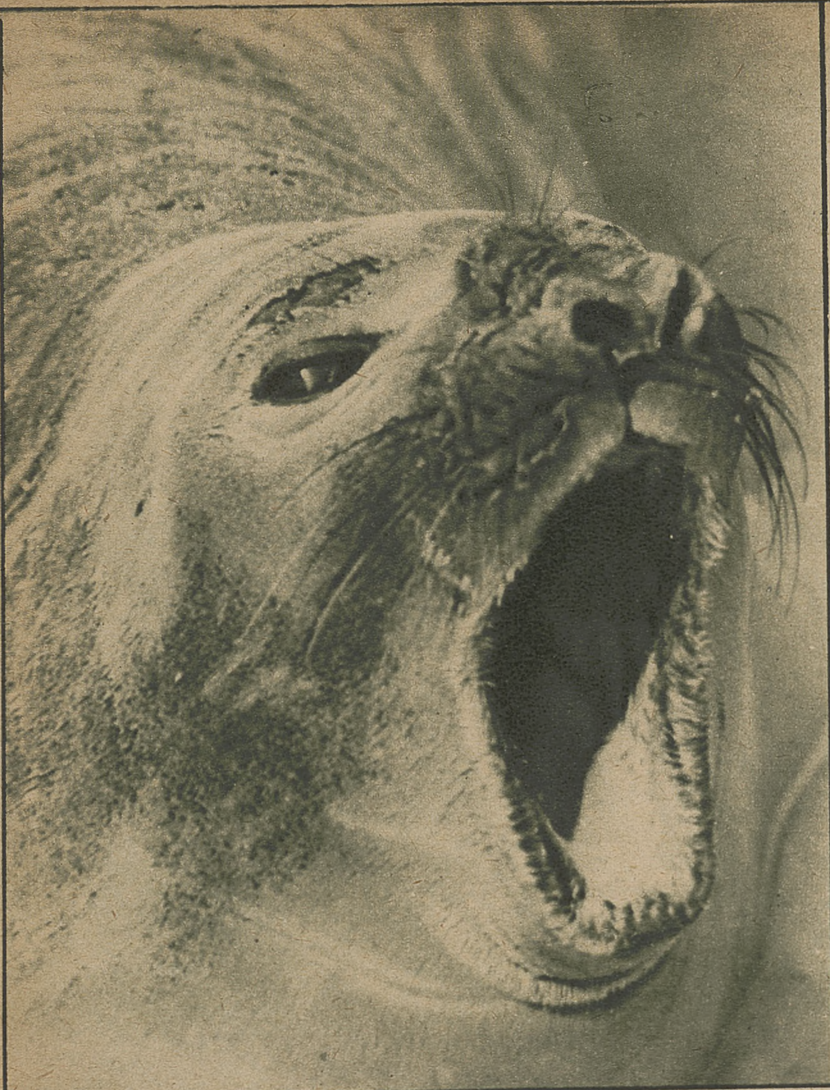


— *Dlaczego pan nazwał swą sztukę teatralną „Koń“? Myśli pan, że to pociągnie?*

Rys: Empp — Kraków

MORSKI SŁOŃ

Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg



Powyżej:
ŚNIADANIE IDZIE!
Na widok dozorcy niosącego obfite śniadanie samiczka wydaje radosne okrzyki przypominające szczekanie psa. Długie szczecinowate wąsy na wardze górnej są czułym narzędziem dotyku, który ułatwia słoniom morskim chwytanie zdobyczy.

Słonie morskie są to foki olbrzymy, dochodzące do 6 metrów długości, o imponującej wadze 3000 kg. Samiec ma nos wydatny przypominający kształtem swym trąbę słonia, stąd nazwa zwierzęcia. Jak wszystkie foki, słonie morskie z nadzwyczajną zręcznością pływają i nurkują w wodzie polując na ryby i głowonogi. Na lądzie poruszają się bardzo niezręcznie i ociężale, z trudem wielkim wlokąc za sobą swe ciężkie ciała. Nic dziwnego wszak niemal całe swe życie spędzają w morzu, a na ląd wychodzą tylko w czasie rozmnażania się. Wtedy zbierają się gromadnie i licznie pokrywają swymi ciężkimi cielskami skały przybrzeżne porosłe wodorostami lub pokryte lodem. W czasie parzenia się samce słoni morskich walczą zaciekle o lepsze miejsca na lądzie i o samiczki, dlatego też ciała starych samców pokryte są gęsto bliznami, co mocno zmniejsza wartość ich skór w handlu. Ojczyzną słoni morskich są Kerguele i południowa Georgia. Niegdyś odwiedzały one tłumnie brzegi Kalifornii, gdzie były przedmiotem bezlitosnych łowów. Dziś jednak w miejscach dostępnych dla człowieka, olbrzymie te foki są prawie zupełnie wytępione. Obecnie słoń morski jest rzadkością, a skóra jego uważana jest za osobliwość. Możliwe, że jakieś prawa zaprowadzające czas ochronny w polowaniu, zapobiegną całkowitemu wytępieniu tej interesującej odmiany fok.

Na prawo:
SŁOŃ MORSKI ZIEWA
Zmęczony licznymi odwiedzinami i upojony zachwytem gości, słoń morski gotuje się do drzemki. Na zdjęciu tym dobrze widać gruby, mięsisty nos słonia morskiego. W czasie godów jak również gdy zwierzę jest rozgniewane mięśnie nosa silnie pęcznieją.

„SŁUŻYĆ"
Słonie morskie odznaczają się dużą dozą inteligencji, toteż udało się dozorcy wyuczyć je bez wielkiego trudu kilku sztuczek, którymi wzbudzają szczery zachwyt widzów.

Obok w kole:
SAMICZKA SŁONIA MORSKIEGO
jest znacznie drobniejsza od samca; dba ona ona widać mocno o linię, gdyż waży zaledwie 1000 kg.





Na prawo:
WSPANIAŁY OKAZ SAMCA
dopraszającego się smacznego obiadu.